

PRZEKRÓJ

31-012 KRAKÓW
 ul. Reformacka 3

Nr 46 z dn. 16-11-97

Zbigniew Ruciński, Mariusz Wojciechowski, fot. Wojciech Piewński



Teatr im. Słowackiego w Krakowie

■ Zapalki dla podpalacza

- Chcę mieć po prostu święty spokój - wyznaje Biedermann i - aby uniknąć nieszczęścia - zaprzyjaźnia się z typami spod ciemnej gwiazdy, w których podejrzewa podpalaczy. Może panowie podpalacze zrobią krzywdę innym, nie jemu? Może zostawią go w spokoju? Wierząc w to, że zło można oswoić, daje im nawet zapalki. Sztukę Maxa Frischa, „Biedermann i podpalacze”, która w momencie powstania w 1958 roku odczytywana była jako analiza narodzin faszyzmu, wystawił na Scenie Miniatura Teatru im. Słowackiego Mikołaj Grabowski.

Dramat, będący jednym z ciekawszych przykładów teatru absurdu, w efektowny sposób, za sprawą jednej przejrzystej metafory analizuje mechanizmy działania zła. „W końcu to sam człowiek podpala swój dom. Bo logika zła jest taka, że zło jest samo w sobie bezsilne, ono nie ma nawet zapalek. Owszem, może zgromadzić materiał łatwo palny, ale z tego jeszcze nie ma pożaru. To sama ofiara musi stać się podpalaczem. Bo nie o to przecież chodzi, by mnożyć pożary, ale by mnożyć podpalaczy” - napisał w programie książkę profesor Józef Tischner i trudno o wnikliwsze oddanie sensu sztuki.

W scenicznej realizacji tekst napisany jako słuchowisko radiowe brzmi zaskakująco aktualnie. Zwłaszcza w pierwszej części spektaklu, kiedy w domu zamożnego mieszczaństwa Biedermanna pojawiają się dwaj przybysze i nie tylko nie dają się wyrzucić - gospodarz ma co nieco na sumieniu, boi się policji, więc nie interweniuje zbyt zdecydowanie - ale zaczynają... gromadzić na strychu benzynę. (Akcja błyskawicznie przenosi się z mieszkania na poddasze dzięki pomysłowej scenografii Krzysztofa Tyszkiewicza.) W mieście co chwile wybuchają pożary, ale mimo to gospodarz ma nadzieję, że katastrofa jego właśnie ominie.

Przewrotność i absurdalność rozwoju wydarzeń umiejętnie wydobywają aktorzy - Mariusz Wojciechowski (oślizły, bezwzględny i techórzliwy Biedermann) oraz odtwórcy ról dwójki biesów-podpalaczy: Maciej Jackowski (prostaczek Ziutek) i Zbigniew Ruciński (bardziej wyrafinowany Willy). Spektakl ma tempo, akcja rozwija się płynnie, szykując co chwilę nowe niespodzianki. Ożywczy kontrapunkt tworzy absurdalno-komiczny chór nieporadnych strażaków, którzy w rytmie staccato komentują wydarzenia i wygłaszają przepowiednie.

gorzej jest, niestety, w zamykających przedstawienie scenach piekielnych. Autor, a za nim reżyser, nachalnie stawiają kropkę nad „i”, dopowiadając wszystko, jakby nagle przestali wierzyć w inteligencję widzów. Pomysł z podpalaczami jako ucieleśnieniem zła wyraźnie się już zużywa. Ze sceny powiewa nudą, diabelskie rozgrywki w spowitej dymami scenerii zaczynają się dłużyć, a przebieranki (nastroszone peruki, rogi, seksowna bielizna służącej-diablicy) nie mogą temu zapobiec.

Jednak spektakl obejrzeć warto dla błyskawicznie zrealizowanej i dobrze zagranej pierwszej części. A sekwencje piekielne potraktować jako karę za grzechy. Któż bowiem jest bez winy?

AGNIESZKA FRYZ-WIĘCEK